

Julita Kisielińska

GĄBKA, GĘBA I GERONTOFILIA

Jesień zapadła, drogi panie, jak liść, co opadł z drzewa i upadł na trawę. Nagie drzewo, nagi sad, opad, opad wszędzie i mi też opada ta ręka niczym konar tego obdartego z godności drzewa, jak tego konara ruszyć nie może, a chociażby chciał. Ruszyć, mówię. Ruszyć. Nie mogę.

Przez całe Lato, drogi panie, przychodziłem do tego parku. Każdy dzień, deszcz padał, promienie słońca też padały na drzewa. I na ławkę z tego drzewa, którego konar obdarli z godności, ale także z kory, wyheblowali i zbili w drewnianą ławkę.

Ławka. Siadałem na nią codziennie, czy to pogoda, czy niepogoda. Opad i opad, bo już wytłumaczyłem, że słoneczna pogoda to też opad.

I dnia jednego, drogi panie, ostatniego dnia Lata, kiedy już tak usiadłem na ławkę, zasadziłem się na prawej nodze, to poczułem, że mi korzeń uwiera lewy. Wtedy też podniosłem tę lewą, bo prawej nie podniosę, to nie ten wiek, bo za dużo słoii. Podnoszę i podnoszę, a ona opada sama. A chciałem lewą nogę przycisnąć do drewna, lewą chciałem usadowić lepiej, bo matczyiny dotyk mnie zawsze uspokajał. I tak wierciłem się, wierciłem, bujając się na tej ławce, z lewej na prawą, potem podnosząc lewą i obniżając prawą, znowu z prawej na lewą. Aż wreszcie podniosłem oko, liście wiatr rozwiął, siwe już, wiekowe, z samych blaszek tylko, jeden wleciał na oczy, to ja go chciałem prawą, a może lewą ręką zdjąć. I wtedy właśnie, lewą ona gałęzią, tak zamaszycie go odgoniłai opadł on na moją prawicę.

– Uważaj, dziadku, bo ten liść to może dzióbnąć końcem w oko! – tylko rzuciła na odchodnego i przeleciała przed oczami jak ten liść.

Wtedy też właśnie usiadłem jednocześnie na lewej i prawej nodze, co o dziwo nie sprawiło mi znacznego dyskomfortu. Sukienkę miała czerwoną i krótką, widziałem to lewym, to prawym okiem. Ale widziałem też łydkę zgrabną, przyodzianą w nylonową rajstopę koloru jakby ciemnej kory drzewa. Liście przewiało to na lewą, to na prawą stronę, barwy już złocistej Jesieni, zapowiadając mój rychły upadek. A Lato jeszcze przecież było, łudziłem się, Lato.

Kolejnego dnia, drogi panie, znowu siedziałem na tej samej ławce i to już na obu korzeniach. Czekałem, czekałem, aż wiatr zawieje i przywieje mi Jesień, miałem taką nikłą nadzieję, że oto świadkiem jestem przełomu dziejów. Ja, Witold. Ja, to samo drzewo jakich wiele w parku. Drzewo, którego się nie dostrzega, bo zajmuje ono ławkę wyłącznie przez swoje zdziadzenie. To drzewo, co korzenie zapuściło i wygląda jakby się wcale nie ruszało. I tak siedzi to drzewo na ławce i Jesień i Zimę i Wiosnę

i Lato. Formę niedostrzegalną tła przyjęło i ciężko mu się z niej uwolnić, bo słońce za dużo naleciało. Starego drzewa się nie przesadza, rzekła mi kiedyś jedna pszczoła, bo miała dosyć latania po parku w poszukiwaniu swojego ulubionego drzewa.

Wtem, drogi panie, wiatr znowu dmuchnął, ale nie rozrzucił liści, tak jak dnia poprzedniego. Ze smutkiem przeleciał obok konara, chlasnął gałęziami i poleciał. Mignął to przed lewym, to przed prawym okiem. Miał na sobie inną sukienkę, w kolorze dojrzałego jabłka i but wysoki, co to korzenie głęboko się w nim nie mogą zasadzić, tym bardziej rozrosnąć, bo cienki on ma koniec i kłuje jak żądło pszczoły, co chce zapylić, a nie może, bo mu jakaś ręka przeszkadza, chcąc odebrać dziewictwo pierwszego użądlenia. Tak mocno zawiąło, że gałęzie musnęły konar. Delikatnie, bo drzewa muskają konary tylko w nocy, po cichu, a nie w dzień, kiedy opad słońca muska konar i gałęzie i liście.

Postanowiłem, drogi panie, że będę wyczekiwał wiatru. Dotknąłem ręką konara i poczułem jak w nim dalej płyną życiowe soki. Codziennie, ta sama ławka, od rana opad a to słońca, a to tego, czego to sobie matka natura nie wymyśli. Ja na tej ławce zasadzony, czekam i czekam aż zawieje, a to tylko leciutko dmuchało i ledwo liście ruszyło. Z oddali ten wiatr, ledwo oczy wybałuszę, żeby go dostrzec. Wieje gdzieś tam z boku, inne drzewa pieści, konary inne dotyka, ja tymczasem ledwo siedzę, bo znowu nie mogę to na lewej, to na prawej nodze. Ach, te korzenie, myślę, starego się rzeczywiście nie zasadzi.

Nadszedł poranek kolejny, więc nastawiony na podmuchy wiatru w tym skwarze, bo mimo końca Lata gorąc naszedł z południa, znowu na tej ławce tam sam zasiadłem, drogi panie. Bawiłem się patyczkami, bo co miałem robić na tej ławce. To zaplałałem jednego z drugim, to drugi z trzecim, potem jeszcze pierwszy i prawy, lewy z drugim. Czasami jeszcze na nich jakieś stare blaszki listków znajdowałem, to patrzyłem na nie z rozrzewnieniem. Głupi, stary i siwy matoł ze mnie. Nagle, gdy tak zakryłem sobie patyczkiem dla zabawy twarz, zawiąło tak, że mi te wszystkie patyki bęc pod ławkę. Zakląłem pod nosem już się schylając, a przynajmniej próbując to z lewego korzenia, to z prawego, a nawet lewym i prawym jednocześnie łapać chciałem. Nie zdążyłem. Z naprzeciwka wyrosły inne długie i gładkie gałęzie, a może jeszcze gałązki – pnia żywego nie widziałem, więc ciężko słoje ocenić, chociaż to chyba jeszcze młode drzewko było.

– Dziadku, pomogę, bo jeszcze coś ci w korzonkach strzeli – i oto rzekła ona, Pani Jesień, sprawczyni całego tego zawirowania.

Ułożyła patyczki na gałązkach, kupki, niekupki i potem je na tę moją ławkę stosikami. Chciałem pomóc, więc dotknąłem patyczków i tych jej gałęzi. I wtedy ona, drogi panie, oko podniosła. Patrzyła orzechami, w końcu Jesień, pomyślałem. Uśmiechnęła się winogronowymi usteczkami, w końcu Jesień, pomyślałem. Włos jej rudy zwiślał falą na ramieniu, no bo Jesień przecież, pomyślałem. Liście lekko rozwiało i to prosto na tę samą sukienkę. To była ta sama czerwona sukienka, ta sama sukienka, co

dnia pierwszego, gdy zawiąło zwiastując nadejście Jesieni. Usiadła obok, drogi panie, a ja poczułem jak w konarze znowu soki vitalne przepłynęły. Jeszcze nie Zima, pomyślałem. Ale nie ma ucieczki przed gębą, chyba że w inną gębę.

– A ty, dziadku, to chyba tak codziennie tutaj, tak na tej ławce, prawda? – zapytała jednocześnie nogę na nogę zakładając. Prawą na lewą.

– W tym parku przynajmniej mogę trochę wiatru zaznać, upał niesamowity na mieście – odparłem i w tym samym momencie usadawiłem się i na lewej i na prawej nodze.

– Ale już Jesień przyszła, to już końcówka Lata. Chłodniej się robi, wiatr zawieje i ulgę przyniesie.

Patrzyłem, jak bierze do ręki listek i zalotnie się nim bawi. Mimo tego skwaru zrobiło mi się chłodniej. Prawdą to chyba jest, że drzewo przy chłodzie przyciska do siebie gałęzie, by tylko ochronić pień.

Pani Jesień opowiedziała mi, drogi panie, o tym co się dzieje Jesienią. Mówiła, że owoce zbierać będzie wkrótce, będzie zbierać te ciepłolubne, ale za te zimnolubne też się weźmie, tylko należy się w cierpliwość uzbroić. Mówiła, że zajmuje się liśćmi, późnymi kwiatami i robi z nich piękne bukiety. Ale uwielbia układać głównie z tych Jesiennych. Codziennie przechadza się po parku i idzie tędy do pracy wyszukując po drodze a to liści, a to kwiatów, a to gałązek.

– Nasz park – mówi – jest tak bogaty we wszelkiego rodzaju liście, kwiaty, krzewy, inne rośliny i drzewa. Drzewa mi się najbardziej podobają, bo posiadają zakłete w konarach doświadczenia wielu pór roku.

I tak, drogi panie, rozmawialiśmy ze dwie, a może ze trzy godziny, a może tylko kilkanaście minut. Pani Jesień potem poszła szukać a to liści, a to gałązek, a to kwiatów, a ja pozostałem na tej samej ławce znowu przesiadając się to na lewą, to na prawą nogę. Dylemat moralny miałem ogromny, bo Pani Jesień niezwykle interesującą się okazała. Ale ona jedna dopiero na początku drogi, ledwo przyszła, a ja ten stary, siwy matoł.

Postanowiłem coś zrobić, drogi panie. Rozumiałem, że nie mogę dopuścić, by na zmarnowanie poszła, bo może to ostatnia moja Jesień. Wtem, do głowy mi pomysł przyszedł genialny, bo upuścić się nie mogę przecież. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i nadal na tej ławce tak siedząc, zadzwoniłem.

– Między tymi drzewami w parku – zacząłem – mi chłodniej. A teraz codziennie jeszcze ma skwar być taki. Siły nie mam codziennie, by tak przychodzić i odchodzić. Korzonki już nie te. Przyjechałbyś jutro po mnie z rana i przywiózłbyś tu do parku, odprowadził, posiedział ze mną trochę na ławce. Stary już jestem i siwy matoł, sam sobie nie daje rady.

Nazajutrz, drogi panie, syn mój pierworodny przyjechał po mnie i zabrał do tego parku. W takiej formie tkwić nadal przystało, toteż powłóczyłem wolniej nogami i do tej ławki, w ten upał, usiąść to na lewym, to na prawym korzeniu chciałem.

Siedzieliśmy tak, on młody, Lato z niego się dało wyczuć. Jemu się podobało siedzenie w opadzie słońca. Ja za to, ten stary, siwy matoł, wolałem Jesień i wiatr. No i w końcu zawiało. Pani Jesień ukazała się w oddali, tym razem w pomarańczowej, krótkiej sukience. Już miałem wstać i krzyknąć, by przyszła, ale syn obok i pomyślałem, że może sama podejdzie. I podeszła.

– O, widzę dziadku, że dziś już nie sam – zalotnie spojrzała orzechowymi oczami też na Fryderyka.

– To syn mój, pierworodny, Fryderyk – odpowiedziałem łypiąc okiem na syna pierworodnego.

Pani Jesień usiadła między nami znowu zakładając nogę prawą na lewą. Fryderyk, Letnim swoim spojrzeniem dotykał to jej rudych włosów, to łydki zgrabnej, ale bez nylonowej rajstopy, to znowu na dół i na górę, lewo i na prawo i potem od nowa i kończył, by potem jeszcze raz od nowa.

Kątem oka ja wtedy to na nią, to na niego, ona na niego, to na mnie, on znowu na mnie i na nią od góry do dołu i w lewo i w prawo. Wtem, spuściłem wzrok na ziemię, by dostrzec tam małe żyjątko. Kroka dać chciałem, by zobaczyć co to dokładnie, ale w formie nadal tkwić mi pozostało. Za to ona żyjątko też zauważyła.

– Dżdżownica – rzekła wyciągając przed siebie gałąź wskazującą.

– A tak, dżdżownica – pokiwał lipową czupryną Fryderyk – Zabiję.

– Nie! – zerwała się w uniesieniu krzyku z ławki Pani Jesień – Przenieśmy ją na trawę, by nikt jej nie zdeptał.

Syn mój pierworodny tylko wzruszył pniem i zaczął się rozglądać za patykiem, by dżdżownicę przenieść na nim właśnie. Pani Jesień nachyliła się nad żyjątkiem, nachyliła się tak, że mnie w korzonkach strzeliło, a może to tylko konar, nie wiem.

– Fryderyku, no pomóżże jej przenieść żyjątko! – zaintonowałem pospiesznie, bo ona nadal bezradna stała i tak się nachylała i nachylała.

Fryderyk stanął za jej plecami patrząc jak ciele w malowane wrota, to tylko chrząknąłem, a on się nad nią nachylił. Nie wiem, czy to wiatr znowu zawiał, czy mi się wydawało, ale tak jakby gałęzie klasnęły o siebie. Nachyleni tak przez dłuższą chwilę, wzięli wspólnie dżdżownicę na dłoń – ona na swoją, a on zabezpieczał swoją pod spodem jej spodu. Powoli, mimo wiatru, podniósł Panią Jesień do pionu i razem wolnym krokiem przeszli na trawnik, by ona znów się nachyliła i on się znów nachylił i by oboje mogli zdjąć dżdżownicę z jej dłoni i by on mógł wyjąć spód swojej dłoni spod jej spodu.

Położone na trawie, drogi panie, żyjątko wiło się na wszystkie strony. Pani Jesień jednak uznała, że jest już bezpieczne.

– Niestety, iść już muszę. Ale jutro znowu będę przechodzić niedaleko – zaintonowała z lekkim dziecięcym śmiechem.

Potem poszła. Syn mój pierworodny podszedł do ławki i usiadł po mojej prawej stronie.

– Tatku, co to za młodą kurewkę poderwałeś? – zapytał z lekkim zażenowaniem. Znowu zrobiło się bezwietrznie i gorąco.

Dane kontaktowe / Contact details:

Julita Kisielińska

Uniwersytet w Siedlcach

E-mail: julitakisielinska@gmail.com

